

TEATR DLA MŁODZIEŻY MĘSKIEJ

Nr. 15



ZBIGNIEW TOPÓR

DOROŻKARZ

I INNE MONOLOGI

WYDANIE DRUGIE



P O Z N A N 1 9 8 0

TEATR DLA MŁODZIEŻY MĘSKIEJ

Nr. 15

ZBIGNIEW TOPÓR

DOROŻKARZ

I INNE MONOLOGI

Wydanie drugie



POZNAŃ 1930

NAKŁADEM ZJEDNOCZENIA MŁODZIEŻY POLSKIEJ
SKŁAD GŁ.: S. A. „OSTOJA”, KSIĘGARNIA I DRUKARNIA

SPIS RZECZY:

	Str
Dorożkarz	3
Stare mamuty	9
Nasza paczka	14
Nowa moda	22

Dorożkarz.

(Młody człowiek, przebrany za dorożkarza, chodzi z batem po scenie, mocno tupiąc nogami.)

Powiadają, że dorożkarze — to są paskarze. Też coś! *(Kłania się publiczności.)* Ja jestem, proszę państwa, dorożkarz — po warszawsku: dryńdziarz — a po krakowsku: fijakier; ale to wszystko taka sama bida, moiściewy. *(Kiwa głową żałośnie.)*

Powiadają: — Masz szkapę, możesz jechać na gapę. — Też coś! *(Kłania się publiczności.)* Ja proszę państwa, jestem bidny człowiek, się wi, bo jeden nima letko. *(Chodzi po scenie stukając obcasami.)*

Powiadają: — Na koźle siada i kielbasę se zjada. — Też coś! *(Kiwa żałośnie głową.)* Mój Ty Boże! Kielbasa wisi u rzeźnika i wypatruje swoją okrągłością na mnie przez okno. *(Słodko, kiwając palcem:)*

— Dorożkażeńku, braciszku, a pójdź no tu, pójdź kochanie — powąchaj! *(Wącha.)* Wącham, ale z kozła, bo przecie zejść nie można.

A tu zaraz jeden fircyk wskakuje do środka. niby do dorożki. *(Krzyczy:)*

— Na kolej na kolej co koń wyskoczy, panie dorożkarz, ale prędko! — *(Siada na krześle, chwytając nie istniejące lejce, wypręża się, robi srogą minę.)*



— Duchem! duchem! jadę, śpieszę się, pedzę!
A kielbasa została w oknie. *(Z żalem:)* Mój Boże!
(Krzyczy:)

— Prędzej, prędzej! — *(Ogląda się.)*

— Też coś, też coś! *(Wzrusza ramionami.)*

Niech się łaskawca tak nie alteruje, pociąg nie zając,
nie uciecze. — *(Naśladuje głos młodego człowieka:)*

— Ale mnie pilno! — *(Z przekąsem:)*

— Mnie też, się wi! — *(Zdenerwowanym głosem,
naśladując jadącego:)*

— Ale ja się śpieszę! — *(Z przekąsem:)*

— To się pan śpiesz. — *(Z pasją:)*

— Zamelduję na policji. — *(Spokojnie:)*

— Zawiozę na policję. — *(Z pasją:)*

— Nie potrzeba. — *(Odwracając się za siebie:)*

— Się wi! — *(Podskakując na krześle:)*

— Dorożkarzu prędko! — *(Za siebie:)*

— Też coś! — *(Prawie z płaczem:)*

— Zapóźnię pociąg. — *(Za siebie, z flegmą:)*

— Ja nie zapóźnię. — *(Chwila milczenia, udaje
że powozi.)*

— Na! Jest dworzec. Trzy złote. *(Z oburze-
niem:)*

— Tak wiele?! — *(Z pasją za siebie:)*

— Wiele? wiele? A mój koń się pytał pana, czy
wiele będzie do więzienia? Ha! — *(Chwyta za so-
bą pieniądze, zdejmuje cylinder, kładzie niby pie-
niądze do środka, wciska z powrotem na głowę, macha
batem.)*

— Wio! Heep! — *(Zatrzymuje niby dorożkę.)*

— Co jest? A, dobrodziejka chciała jechać ze
mną? Śliczności, nie mam nic przeciw temu, tylko

niech pani nie idzie z przodu, w tym pięknym kapeluszu, bo jeszcze mój koń pomyśli, że to koryto z owsem i obgryzie kapelusz. (*Za siebie:*) Dobrze! dobrze! proszę siadać! (*Piskliwym głosem:*)

— Panie fiakier, a czy wyście nie wściekli, a konie nie pijane? — (*Wzdryga ramionami.*)

— Też coś! — (*Obracając się za siebie:*) Moja pani, albo sobie pani idź na nóżkach, piechty, dyrdy do miasta, albo sobie pani siądź na dorożkę i jedź, bo do tramwaju z korytem na głowie się nie zmieścisz. (*Podskakuje.*) Uff! Ufff! a to kobita zawazyła. (*Patrzy pod krzesło.*) Resor się wygiął. Oś się nadłamała. (*Za siebie:*) Moja pani, jest przykazanie siódme, żeby się nie objadać, jak się chce jeździć uczciwymi dorożkami. Wielkanoc już minęła, obraza boska. — (*Piskliwym głosem:*)

— Panie fiakier, a nie zawieziecie mnie w jakie nieprzystojne miejsce? Ja się bardzo boję, przysięgnijcie! — (*Wzrusza ramionami, zwykłym głosem:*)

— Też coś! Ja dobrodziejkę zawiozę do krawcowej, żeby tę suknię trochę przydłużyła, bo mój koń jest bardzo moralny i okropnie się gorszy na ten widok — i broń Boże jeszcze nosacizny dostanie, tak prycha z obrzydzenia. (*Macha batem.*) Wioooo! Heeep! Jedziemy! Wysadzam kobitę przed hotelem, płaci dużo, za dużo nawet, jak to strachliwa niewiasta. (*Za siebie:*) No, no będzie z tej reszty na weterynarza; może pani sumienie uspokoić. — (*Przeciąga się.*) Mój Boże, żeby tak teraz na kielbaseczkę i piwko. Ale gdzież tam. Pracuj bidny człowieku, aż ci się śledziona zamieni na fujarkę, a żołądek zapadnie i przylepi się do krzyża. (*Za siebie:*)

— Co jest? Policjant? Bo co? Wykaz? Ach wszystko w porządku, panie władco od porządku publicznego. Dorożkarz nie złodziej.

— Dobra! *(Z ulgą:)* Poszedł. Ale mogła być awantura. Nie policzyłem mojemu kasztanowi włosia w ogonie, a to musi być wszystko dokumentnie zapisane na urzędzie. *(Przeciąga się.)* Żeby się tak teraz móc zdrzemnąć. Oooo! Jakby to było rozkosznie. *(Przechyla głowę i drzemie.)* Jestem sobie naprawdę paskarz, jem cały dzień kiełbasę i piję piwo prosto z beczki, a mój koń chodzi w prawdziwych schimmy trzewikach. *(Przez sen, coraz bardziej nieprzytomnie:)* Mojemu kasztanowi kupiłem spodnie w tanim sklepie i krawatę u Teodora Krawczyńskiego. Ho, ho, a to się ten sąsiad od siwka będzie złościł. Piii! I jeszcze mu założę na ogonie, to jest mojemu koniowi, automobilowe okulary, takie, jakie nosi hrabina Fificka, ta, co to sama prowadzi „Pragę”. Baba będzie zazdrościć. Ach! A potem pójdę z moim koniem pod rękę na spacer przez plac w samo południe. *(Budzi się.)*

— Co to jest? Co ma być? Dokąd? Którędy? Dwa złote a konto. *(Rozgląda się.)* Ach — niema nikogo. A tak mi się pysznie śniło. Jeszcze czuję na języku smak tej ślicznej, przemilej kiełbasy, mój Boże! *(Wstaje i chodzi po pokoju.)*

Powiadają *(z żalem:)* — Masz lejce i bat, toś chwał. — *(Wzdryga ramionami.* Też coś! *(Kłania się publiczności.)* Ja, proszę państwa, jestem sobie taki, co to ludzi wozi, ale mnie też coś wozi, a mianowicie bida. *(Siada znów.)* Się mówi trudno. *(Z animuszem:)*

— Hej! Chce tam który jechać? A dokąd? Do cukierni na ciastka? Może być. Ja nie przeszkadzam. *(Za siebie:)* Tyle ładunku! *(Chwyta się za głowę.)* Czworo dzieci, pies, niańka, parasol, ojciec, matka i dwanaście paczek. *(Za siebie:)* Dokąd? *(Z politowaniem:)* Na spacer! Też coś! Psabym obwoził, ale taką całą familję!! *(Rusza ramionami.)* Musi i tak być, ciężka dola dorożkarza. *(Za siebie:)* Daleko? *(Rusza ramionami.)* Na spacer? Tym się chce! *(Siada wygodniej, wypręza się, cmoka na konia i popędza batem.)*

— Wioooo! Heeeep! Jedziemy! *(Udaje pisk dziecka:)*

— Mamusiu! Ja się boję, bo się koło obraca. — *(Za siebie:)*

— Cicho, aniołku, gorzej będzie, jak ja cię zacząnę obracać. — *(Naśladuje głos ojca:)*

— Żeby też to Pan Bóg pokarał taką familję. Jednej niedzieli spokojnej człowiek niema. — *(Za siebie:)*

— A ja to niby mam? — *(Naśladuje głos krzykliwej niani:)*

— Proszę pani, bo Stasio zgubił kapelusik. — *(Za siebie:)*

— To panna trzymaj! — *(Zatrzymuje konia.)* Stój! Prrrr! — *(Za siebie:)* No, już tam z tym kapileuszem?! — *(Cmoka na konia.)* Dalej kasztan, dalej! Zawieź pieska na spacer. — *(Naśladuje głos dziecka:)*

— Mamusiu, bo mnie Karolek uszczypnął w ucho. — *(Wzdryga ramionami.)*

— Dobrze zrobił, jabym całą tę rodzinę wyszczypał, toby im się zaraz odechciało. (*Cmoka na konia.*)

— Heeep! — (*Naśladuje głos pani:*)

— Och, och, och, bo się powóz przechyla. — (*Wzdryga ramionami.*)

— Też coś! — (*Patrzy w bok i nagle woła radośnie:*) Wojtek! A ty gdzie jedziesz? Ze spaceru z powrotem? Poczekaj! Masz pieniądze? Masz? Na ciebie kolej! Ja fundowałem w zeszłą niedzielę. Postawisz dwa kufle?! Kiełbasa z czosnkiem. Dobra nasza! Doskonale! Zaraz, zaraz! (*Przechyla się z krzesłem.*) Wioo! — (*Podcina konia batem, potem krzyczy naśladując nianię:*)

— Pani, pani, dzieci wypadają! — (*Naśladuje dzieci, wciąż przechylając się z krzesłem:*)

— Mamusiu, Karolek mnie ciągnie. — (*Naśladuje panią:*)

— Boże, Boże, spadamy w rów. — (*Naśladuje krzyk całej rodziny:*)

— Ach! Och! Aj! Aj! Au! Ooe! — (*Przewraca się z całym krzesłem na podłogę.*)

— Wiwat! Leży familja z pieskiem! — (*Naśladując głos ojca:*)

— Człowieku, uratowałeś mi niedzielę. — (*Podnosi się z ziemi, ustawia krzesło na środku pokoju, tyłem do widzów, kłania się za siebie.*)

— Do widzenia w przyszłą niedzielę! — (*Tyłem do widzów, macha batem i krzyczy:*)

— Wioo! Kasztan! Heeep! — (*Wyjeżdża za scenę, siedząc na krześle.*)

Stare mamuty.

(Młody człowiek chodzi chwilę po scenie tam i z powrotem, wkłada ręce w kieszenie, wyjmując je z powrotem, przegarnia czuprynę, wreszcie machnąwszy ręką z determinacją, zwraca się do publiczności.)

To wszystko na nic! *(Chodzi znów chwilę.)*
To się absolutnie na nic nie zda! *(Staje naprzeciw publiczności, obie ręce mocno w kieszenie wcisnąwszy i mówi dobitnie:)* Wszystko już jest dawno przesądzone i wszelkie moje próby nie przydadzą się na nic! Mówię to wyraźnie, bo nie chcę siebie ani was łudzić! *(Przegarnia czuprynę, potem nagle wybuchają:)* A zresztą, niech będzie! Powiem wam, moi kochani, takie rzeczy, od których napewno wyłysiecie. Wyłysieć możecie, wiele razy wam się tylko do tego nadarzy sposobność, ale obrazić się na mnie nie wolno. Zrozumiano? Zgoda? Zatkajcie zatem uszy waszej obraźliwości i słuchajcie: To jest kupa mamutów, hipochondryków, rinocentuarów, przedpotopowych jaszczurek z nietoperzowemi skrzydłami, to węże boa, cioteczni siostrzeńcy tego raj. *(Patrzy przez chwilę niespokojnie na publiczność.)* Czy jeszcze nie wiecie, o kim mówię? Odpowiadajcie! Nie wiecie, nie domyślacie się? Ach! to tak łatwo się domyśleć! Przecież właściwie mówię o... was!

No tak! Nie róbcie takich min obrażonych. Pamiętajcie, coście mi na początku przyrzekli. Ma się rozumieć! Naturalnie! Jeżeli jednakże czujecie się dotknięci, no to wyrażę się łagodniej. Mniejsza o formę, jestem człowiekiem, z którym można się dogadać. A więc *(przybiera pozę uroczystą)*, miałem

na myśli nie poszczególnych osobników, nie mówię na przykład, aby pan Stanisław (*wskazuje na kogoś z publiczności*), albo pan Wincenty był właśnie owym pterodaktylem z epoki potopu; nie, niech się pan nie obawia, jestem pełen uznania dla pana szanownej osoby (*kłania się komuś z publiczności*), ale ja mówiłem o wszystkich, tak rozumiecie państwo, ogólnie o całym naszym zebraniu tu dziś Stowarzyszeniu. (*Stoi przez chwilę i kiwa głową milcząc.*) Ja umyślnie nic teraz nie mówię, żeby państwo mogli uspokoić swoje dygoczące serca i — przepraszam za wyrażenie medykałne — wasze puchnące trochę do żółci wątróbki. No trudno, nie trzeba tego brać za złe i nie należy zatykać nosa chusteczką, bo każdy człowiek musi mieć wątrobę, gdyż inaczej byłby chory. A że ja nikomu nie życzę choroby, bo jestem człowiekiem łagodnym z natury, więc dlatego to mówię — co powiedziałem.

Aha! (*Kiwa znów głową.*) Ja umyślnie nic nie mówię, żeby się państwo mogli uspokoić. No, najgorsze już przeszło, widzę z twarzy siedzącego ot tam dalej w kącie pana Wacława, że burza jego rozszalałych namiętności, wywołana przez mój (*pokazuje na siebie*) — że się tak wyrażę, — dyskurs, już cokolwiek w jego wnętrzościach się ułożyła. Mogę więc kontynuować. (*Macha ręką.*) Przepraszam — dla objaśnienia: wyraz kon-ty-nu-ować, znaczy właściwie w tym wypadku mówić dalej; ale ja umyślnie użyłem tego obcego wyrazu, żeby go państwo nie zrozumieli i sądzili, że tu chodzi o coś nadzwyczajnego. Szczególniej pan Jaś, który niezmiernie lubi to, czego nie rozumie; więc przepraszam, że

wytłumaczyłem. (*Chodzi po scenie, przegarniając włosy*).

Państwo się niecierpliwią? Chcielibyście wiedzieć, dlaczego to właściwie jesteście podobni do dyluwjalnych słoni? Dziwię się, niezmiernie się dziwię, że to was tak zadziwia. Gdybym powiedział Feliksowi:

— Słuchaj stary, powiadał mi jeden, co ma stryjeczno-ciotecznego kuzyna w Warszawie, a ten kuzyn jest chrześniakiem z trzeciej pary jednego, co zamiata schody przy tylnem wejściu do Sejmu — powiadał — to jest tego chrześniaka, z trzeciej pary, stryjeczno-ciotecznego kuzyna znajomy powiadał mnie, że słyszał, jak jeden, co ma cioteczno-cioteczną babkę, która jest stryjeczno-stryjeczną bratanką prababki jednego z niedoszytych marszałków Sejmu, że... proszę się nie niecierpliwić, ja lubię wszystko załatwiać dokładnie, że słyszał, jak mówił jeden minister do drugiego ministra o tem... Słuchaj Feliks — i nie ziewaj, bo to nieprzyzwoicie! Więc gdyby mówił, że ciebie Feliksie, mają wybrać na posła z partji Umiarkowanej Głupoty, to wiecie co moi państwo, ale wyście już pewno wszystko zapomnieli, co przedtem mówiłem; otóż gdybym powiedział Feliksowi, który ma jeszcze zielono w dzióbku i mleko pod nosem, że on mianowicie zaraz zostanie posłem, to napewnoby się nie zdziwił.

Jeszcze nie słyszałem, żeby się ktoś dziwił, jak mu się mówi komplement. Co najwyżej poprawi krawat, okręci sobie mankiet (*naśladuje*) — i robi minę (*nadyma policzki i podnosi nos w górę*), jak gdyby wszystkie zaszczyty świata z dawien dawna jemu



tylko się należały. Ale jeśli się komu powie prawdę... *(Chwyta się za głowę:)* Boże zmiłuj się, co się dzieje! Kolega robi twarz karawaniarza, który zamawia towarzyszy na własny pogrzeb. *(Robi minę tragiczną.)* Zwierzchnik dyktuje z miejsca swojej stenotypistce zwolnienie śmiałka z miejsca, panienki robią minki zdychających kurek, niewinnie pomordowanych na rosół, a młodzi chłopcy przybierają pozy brzuchomówców lub footballistów, czy anarchistów, celem natychmiastowego uśmiercenia, z pomocą najbliższej się znajdującego radjotelegrafu, tego, który śmiał zamiast komplementów, powiedzieć słóweczko, małeńkie słóweczko prawdy. *(Rozkłada ręce i wzrusza ramionami.)*

Tak moi państwo, tak jest rzeczywiście. Ja na to nic nie poradzę. *(Przykłada rękę do ucha i nadśluchuje.)* Co, co? Czego pan łaskawca raczył sobie najłaskawiej życzyć? Słucham, słucham! Aha! widzicie państwo. Tu obecny, pan Ildefons Wiercigłowa, zapytuje mnie w imieniu swoich siedmiu braci, również tu obecnych, mianowicie: Zinia, Binia, Winia i innych, dlaczego mianowicie pozwoliłem sobie nazwać nasze Stowarzyszenie Młodzieży, którego członkami czynnymi są wszyscy ośmiu bracia Wiercigłowowie: dlaczego mianowicie nazwałem was paczką starych, zaśniedziałych, niemodnych cylindrów? Stosem cudacznie powykręcanych papci? Gromadą dziwolągów i półgłówków, zgromadzeniem hipopotamów, robiących testament nad brzegami Nilu. Dlaczego? Chcecie wiedzieć? Chcecie to koniecznie usłyszeć waszemi najrodzeńszymi uszami? *(Nagle zakrywa głowę połą ubrania.)*

Tylko proszę bez granatów ręcznych czy innych. Wymawiam sobie używania w tym lokalu Grubej Berty, lub Kolumbryny z pod Częstochowy, zagwożdżonej jeszcze przez świetnej pamięci jegomościa pana Kmicica! (*Ogląda się trwożnie dokoła, nagle zasłania się znów z krzykiem:*) Panie Alojzy Prędkogębski, proszę bardzo. Ja bardzo pana proszę, wypraszam sobie bardzo, bardzo wypraszam sobie to, aby pan na zebranie zabierał ze sobą w kieszeni od kamizelki konny karabin maszynowy. Moja głowa też coś warta; objętość kapelusza 50 cm., tego nie można lekceważyć. Proszę niech pan zaraz wychodzi! (*Coła się za stół.*) Czy ja mam wogóle coś mówić, wobec tego, że nie jestem pewien tutaj mojego najżywotniejszego życia? Ale! (*Wysuwając nogę naprzód i zakładając rękę na piersiach gestem napoleońskim:*) Ja się nie boję! Ja już się nie boję niczego! Niechaj rozbłyśnie sława przed światem, że nasze Stowarzyszenie Młodzieży stać na bohaterstwo! Strzelajcie! (*Wskazuje na pierś.*) Strzelajcie! Oto moja pierś bohaterska! (*Czeka chwilę.*) Nie chcecie? Ha, po raz drugi i trzeci pytam. (*Czeka chwilę.*) Nie chcecie? Nie dziwię się wam zresztą, musielibyście za wiele długów płacić po mojej śmierci, za to ubranie na przykład. (*Pokazuje.*) Ale teraz, kiedy tak mężnie przetrwaliśmy próbę, powiem wam, co o was myślę.

Każdy człowiek postępowy, we właściwym słowa tego znaczeniu, każdy szanujący się osobnik, każdy młodzieniec, który pragnie zrobić wspaniałą karierę życiową, każdy taki powiadam, co robi? (*Oczekuje odpowiedzi.*) Myślicie, że może to, co wy? Może chodzi na zebrania, lub do kościoła? O nie!

Każdy taki wspaniały, piękny, wzbudzający zachwyty młodzieniec, uważajcie i uczcie się, *(dobitnie:)* pije, gra w karty, nadużywa wszelkich przyjemności życiowych. Słyszeliście! A wy, którzy chodzicie na zebrania, należycie do stowarzyszeń, wysłuchujecie takich, jak mój, niemądrych monologów, wy, jesteście gromadą nadgniłych, koszlawych, pleśniejących starych mamutów!

Radzę więc, nawróćcie się póki czas — i wszyscy za moim przykładem i razem ze mną, przystapcie do Zjednoczenia Nieumiarkowanej Głupoty, gdzie nie będzie żadnego zarządu, żadnych referatów, żadnych protokołów, tylko nieustanne wygłaszanie komplementów, codzienny obiór dwunastu prezesów — i raz na miesiąc konkurs z nagrodą dla tego, który okaże się najgłupszym!

Państwo nie chcą?! *(Z zalem:)* Co robić? jesteście nieuleczalni! Nie ma dla was rady! Nic z wami zrobić nie zdołam. Chyba? chyba... *(błagalnie:)* zechciejcie i mnie także przyjąć z powrotem do waszego Stowarzyszenia Młodzieży. Niechże i ja nadal pozostanę starym mamutem! *(Kłania się i wychodzi.)*

Nasza paczka.

(Młodzieniec w niedbalej pozie stoi przy stole.)

Nie wiem, czy tu niema gdzie na sali kogoś z zarządu? Ale miejmy nadzieję, że nie. Zresztą będę mówił po cichu, a państwo, mam nadzieję, mnie nie zdradzą, nieprawda? Otóż na początek, przyznam

się wam, moi drodzy, że należę do tak zwanej: kliki. Czy wiecie może, co to znaczy? Poinformuję was, choć może być, że gdzieś tam na sali, znajduje się ten i ów należący także. Tylko sza! Nic nikomu nie mówcie! Klika, albo też nasza paczka, jest to tajne zgromadzenie kilku członków Stowarzyszenia, związanych wspólnym interesem, wspólną akcją, wspólnym, że się wyrażę poprostu jasno — ideałem. (*Siada i mówi tonem wykładu:*)

Chętnie państwa poinformuję dokładniej o naszych poczynaniach, tylko proszę, usilnie proszę, nie mówić nic prezesowi, lub innym członkom zarządu. Dlaczego? Ach to najzupełniej jasne. Poprostu nasze zapatrywania są cośkolwiek inne od ich zapatrywań — i nasze cele zupełnie odmienne. Ale możeby ktoś inny chciał mówić na ten temat? (*Wstaje.*) Chętnie miejsca ustąpię. (*Robi ruch zapraszający.*) Proszę, proszę bardzo! Nikt nie chce? E! Moi drodzy, nie bądźcie tacy nieśmiali, lub nieufni; mamy wszystkich zebranych za sobą, należą poniekąd także do kliky, choć nie oficjalnie. Możecie mówić śmiało! No? (*Rozgląda się.*) Może pan? (*Przechodzi na drugą stronę sali.*) A może pan? Także nie? Jaka szkoda! Napewno wyłuszczylibyście rzecz jaśniej i pewniej ode mnie. (*Siada.*)

Wobec tego, że nikt mnie zastąpić nie chce, widzę się zmuszonym przemawiać sam. (*Rozsiada się wygodniej.*) A więc najpierw maskę z twarzy! (*Robi ruch, jak gdyby odchyłał przyłbicę.*) Ja jestem wiodącym naszej paczki, jestem duszą kliky. Państwa razi może wyraz kliky? Och, nie szkodzi; nazwa ta ogólnie przyjęta. W naszym społeczeństwie jest ta-

kich gromadek dużo wszędzie, a już szczególniej każdej dobrze prosperujące towarzystwo prędeż, czy później wylania ze swego grona taki śliczny zbiorek. *(Przeciera czoło i robi ruchy wyrażające namysł i skupienie uwagi.)* Więc będę teraz mówił o naszych zamiarach i celach. *(Wstaje i przechadza się po pokoju.)*

Głównym naszym celem i hasłem to: krytykowanie wszystkiego i wszystkich. Tak. Naturalnie w szczególności bierzemy pod uwagę czynności samego zarządu, najbardziej prezesa, ale poza tem interesują nas również i inni członkowie.

Proszę sobie wyobrazić, czy towarzystwo, w którym istnieje taki, jak u nas zarząd, może wogóle rozwijać się pomyślnie? Absolutnie nie! Gdybym ja był na czele, ha wtenczas?! No, ale na najlepszych ludziach zazwyczaj świat się nie poznaje. Co robić? W naszej paczce jest więcej pokrzywdzonych. Bo choćby Felek. Niech sobie państwo wyobrażą, ten człowiek posiada wszelkie kwalifikacje na wiceprezesa. Mógłby nawet być na czele, gdybym ja naturalnie nie wchodził w rachubę. Ten człowiek ma wzrost, jak sławnej pamięci Zbyszko Cyganiewicz; gra w hazard jak pierwszorzędny bywalec rulety w Sopocie; tańce prowadzi, jak sam baletmistrz wielkiej opery — i pomyślcie, na tego genialnego człowieka nie padł ani jeden głos podczas ostatnich wyborów. Ja byłbym na niego głosował, gdyby nie to, że musiałem oddać kartkę na siebie samego. Przecież w porównaniu z Felkiem, prezesi wszystkich znanych mi towarzystw gasną, jak gwiazdy wobec słońca. Że nie umie przemawiać? Cóż to szkodzi?

Przypominam sobie ostatnio, podczas wizytacji naszego Stowarzyszenia przez delegata ze Związku, zdarzyła się historia fatalna. Otóż zapytany przez delegata Felek, o to, ile członków liczy towarzystwo odpowiedział:

— Dawniej, sto osiemdziesiąt tysięcy.

— Jakto — pyta delegat — tak liczne było wasze Stowarzyszenie?

Felek wytrzeszcza nań oczy. Wszyscy patrzą na niego, kilku śmieje się, jeden trąca go w bok, szepcząc: — Felek uważaj! — On orientuje się wreszcie o co chodzi, w danej chwili bowiem kombinował jeszcze ciągle w głowie, ile wygra pieniędzy, gdy za jeden punkt w bilardzie będą liczyli po groszu. Teraz więc spostrzegłszy, że tu mowa o towarzystwie wali z miejsca:

— Jedna, jedna!

— Jakto — dziwi się delegat — jedna członkini? Przecież to jest Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. Nie rozumiem!

— Naturalnie, panie delegacie, tylko jedna!

Delegat zwraca się do zarządu z oburzeniem:

— Gdzie tu jest ta jedna?

Zarząd milczy, ale Felek woła radośnie:

— Przy restauracji pana Butelskiego.

— Co?!

Wszyscy tracą głowy, prezes robi się zielony, a ja szepczę Felkowi do ucha, że delegat pyta o członków. Ach! Stuka się w czoło Felek, on bowiem ciągle myślał, że mowa o sali, a jest tylko jedna w całym mieście, gdzie można urządzać zebrania.

— Panie delegacie, ja tylko tak...

- Co druh tak?
- No, ja tego...
- Jakto tego?
- No, ja tam... (*Wskazuje drzwi.*)

I nagle skarbnik, który jest człowiekiem energicznym, wziął go, to jest Felka, za kołnierz i wyniósł za owe wskazane drzwi, prowadzące do owej nieśczęśliwej sali. Zarząd musiał delegatowi długo i szeroko sprawę tłumaczyć, pokazać listę członków. Ostatecznie ktoś śmielszy zawołał, że Felkowi mie-sza się w głowie i sprawę załagodzono. (*Wzrusza ramionami.*) Ale to znowu nie powód, żeby chłopa-ka krzywdzić. (*Z oburzeniem:*) Powiadam państwu, ani jeden głos nie padł na jego kandydaturę na pre-zesa.

Ale w naszej paczce jest więcej takich ludzi. Naprzykład Franek. Ten, mojem zdaniem, pysznie nadawałby się na sekretarza, naturalnie, o ile ja nie reflektowałbym na ten urząd. (*Liczy na palcach.*) Podczas wyborów, miał jeden głos tylko — i to swój własny. Ja dla pewności wypisałem swoje nazwisko na kartce, bo sądziłem, że to praktyczniej. Jeśli bo-wiem wybranoby mnie i na prezesa i na sekretarza, mógłbym sobie wybrać co wolę. Tymczasem, gdzież tam, nic! Franek w pośród kolegów ma opinię, że pisać nie umie, ale przecież to nie najważniejsze. Ludzie przed potopem, także podobno pisać nie umie-li — a mimo to?... No, niewiem, czy tam w raju istniały Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej. Ale za-wsze... czy nie? Otóż Franek, ukończył wprawdzie szkołę powszechną, mimo to pisze zawsze cielęcina przez cz na początku. (*Dobitnie:*) Czełęcina i wchód

przez f h u t, nie mówiąc już o świeżej wodzie, bo ja także uważam, że tam powinno być rz, gdyż chłopcy na kolei wywołują zwykle (*woła:*) świrza wooodda! (*Wzrusza ramionami.*)

Państwo kochani, to są drobnostki; ludzie wyżsi na takie szczegóły nie zwracają uwagi. To jest małostkowość, niestosowna dla prawdziwie wykształconego człowieka. Słyszałem przecież paradną przemowę naszego wiceprezesa, na temat tego, jakim powinien być sekretarz. Powiada (*patetycznie:*) musi pisać czytelnie, ładnie, ortograficznie; musi dobrze i dokładnie protokółować i umieć utrzymać księgę protokółarną i spis członków w porządku. (*Wzrusza ramionami.*) Przesąd, państwo kochani. Wcale tak być nie potrzebuje. Czyż ja naprzykład umiem napisać protokół? Prawdę mówiąc, nie mam o tem najmniejszego pojęcia. Zresztą to takie nudne ciągle skrobać: ten powiedział to, a tamtem owo, ten mu odpowiedział, tamten temu odparł, ten tego przegadał, inni innym wytłumaczyli... Ja także teraz mówię, a czy państwo to zapisują? No, przecież nie, chociaż wartoby było, bo czegoś równie mądrego i ciekawego napewno po raz drugi nie usłyszycie. Jednem słowem głupstwo się stało, bo wyobraźcie sobie, u nas rzeczywiście wybrali takiego sekretarza, który, (*wylizując dokładnie na palcach:*) najczytelniej, najładniej, najczyściej i najbardziej ortograficznie pisze. Do tego prowadzi książki prima eff! A Franek? Tego, mimo, że jest pierwszym footballistą, wierzcie mi, żaden bramkarz przed nim się nie ostoi, każdą obronę położy na obydwie łopatki, naszego kochanego Franka, nie mówiąc już o mnie, boć do niesprawiedliwo-

ści jestem przyzwyczajony, kochanego, grubego Fran-
ka nikt nie wybrał! *(Wstaje i przechadza się.)* To
byłby sekretarz i prezes!

Sądźcie, że na tem koniec? Może ktoś nieobe-
znany ze stosunkami w naszym towarzystwie sądzi,
że może Felek, Franek, albo ja piastujemy choćby
urząd skarbnika? Ech! gdzież tam! Przecież są lu-
dzie tak naiwni, którzy twierdzą, że skarbnik musi
być matematykiem. Gdzie tu racja? Przytoczę znów
przykład z historii. Powiedzcie, szanowni państwo,
czy znany wam wielki polski matematyk Ciołek, albo
astronom nasz Mikołaj Kopernik, byli skarbnikami
jakiego stowarzyszenia? No proszę? No? No?
(Milczy chwilę, potem kiwa głową.) I pomyślcie tyl-
ko, prezes nasz twierdzi, że skarbnik powinien umieć
liczyć, a przecież ci, którzy najlepiej liczyć i obliczać
umieli, taki na przykład Mikołaj Kopernik, nigdy,
ale to nigdy nie był skarbnikiem stowarzyszenia mło-
dzieży. Nawet u nas, takich zacofańców, ani jeden
głos nie padł na Mikołaja Kopernika, ani jeden na
Ciołka! *(Podpiera się pod boki z triumfem.)* Wi-
dzicie? Czyż nie mam racji? Ha, ha, ha, teraz prze-
konaliście się! Na mnie więc, na mnie głosowano.
Naprawdę głosowano. Padł... jeden głos... *(ciszej:)*
mój własny.

(Macha ręką.) Mniejsza o to! Rozumiecie więc,
państwo szanowni, że wobec tego, iż w Stowarzysze-
niu naszym niema odpowiedniego zarządu, wobec te-
go, że ludzie niestosowni dostali się do steru towa-
rzystwa, wobec tego, że tylu zasłużonych skrzywdzo-
no, zmuszeni byliśmy złączyć się w maluteńką organi-

zając zawiązać poprostu klikę, która czuwałaby nad tem, żeby wśród członków nie zapanowała nigdy tak szkodliwa dla towarzystwa zgoda i jedność. Nie, tego nie będzie, póki my żyjemy! Hasłem naszej paczki: krytykować wszystko i wszystkich! (*Podnosi dumnie czoło.*) Możecie być pewni, że gdyby nie było naszej solidarnej paczki, z pewnością prezes cieszyłby się uznaniem i uwielbieniem wszystkich, sekretarza noszonoby na rękach, skarbnikowi ofiarowanoby adres pochwalny, a wszyscy tacy wiceprezesi, ławnicy — i jak się tam jeszcze to szanowne grono nazywa — wszyscy oni mogliby pracować w spokoju ducha, niktby im nie przeszkadzał. (*Uderza pięścią w stół.*) Ale tego nie będzie! Nie, nie będzie! Nasza klika w tem! My tu jeszcze jesteśmy!

Przedstawimy się państwu. (*Stuka się palcem w kamizelkę.*) Ja — niedoszły prezes, niedoszły sekretarz, niedoszły skarbnik, ja — posiadający wogóle wszelkie kwalifikacje; potem Felek, nasz baletmistrz; Franek, ten, co to najlepiej gra w piłkę nożną. Potem jeszcze Kazio, Wicek i Antoś. Ci trzej do sportu coprawda niebardzo są zdadni, ale zato tęgie mają głowy. Pięć, dziesięć kieliszków spuścić, to dla nich fraszka. Bawić najgłupsze panny — w sam raz oni do tego; a już śmiać się z tego, co my powiemy, umieją tak, że aż się sufit trzęsie! Bija nam brawa, dogadują, chwalą, podmawiają, (*ciszej:*) jedno tylko u nich trochę nieprzyjemne, otóż... jakby się wyrazić oględnie? Lubią tego... czasem... ten... no, pożyczają pieniądze, aby ich nigdy nie oddać. Ale zresztą setne chłopcy. (*rażno:*) jak barany głupie, ale wesole!

(Przechadza się po pokoju.) Nikt z zarządu, tego co mówiłem, nie słyszał, a powiem państwu w tajemnicy jedno jeszcze: Otóż w najbliższych tygodniach wypada u nas znowu głosowanie, wybór nowego zarządu. Nasza klika nie dopuści tamtych z powrotem, choćbym miał dziesięć kartek sam na siebie oddać. Naturalnie w każdej musiałbym zrobić inny błąd ortograficzny, żeby się nie wydało, że wszystkie oddała ta sama osoba. Moja głowa w tem, żeby nas pięciu wybrano! Zobaczycie! My wygramy napewno! Ha! *(Staje w paradnej pozycji.)* Wara obrazić naszą paczkę! Pokażemy co umiemy! A zresztą *(macha ręką)*, możecie wy potem, jeśli chcecie, utworzyć znów przeciwko nam taką klikę. Pamiętajcie wówczas: trzeba krytykować wszystko i wszystkich, bez wyjątku, takie jest hasło. Niech żyje klika! *(Kłania się i wychodzi.)*

Nowa moda.

(Wytworny, elegancki młodzieniec w białych kamazach i białych rękawiczkach, z laseczką w ręku, z kapeluszem, który trzyma zręcznie końcami dwóch palców, wbiega krokiem tanecznym na scenę.)

Uszanowanie państwu, uszanowanie! *(Robi zręczny obrót dokoła własnej osi, kładzie kapelusz na brzeжку krzesła, laseczkę opiera o stół.)* Cóż to, niema muzyczki? Ooooo... *(Z głębokim żalem:)* Jaka szkoda! Ciągle namawiam, proszę, perswaduję na-

szemu szanownemu zarządkowi, ale nic nie pomaga. (*Odpina guziczki od rękawiczek.*) Przecież kilka taktów schimmy niewymownego, dodałoby wdzięku moim występom. O tak! (*Robi kilka ruchów tanecznych.*) Państewko kochani, czyż to nie najważniejsze? (*Stoi chwileczkę z lekko uniesioną w górę nogą prawą.*) Czy tak nie ładnie? (*Chodzi szybko po scenie, przystaje, zapina guziczki u rękawiczek, obciąga je i ogląda swoje ręce.*) Jakie ja mam śliczne ręce. Czyż nie? I pomyślcie tylko, (*mówi z zalem:*) że nasz najmilszy zarządk jest tak zacofany, że absolutnie nie chce słuchać żadnej z moich rad. A przecież ja (*wygina się zręcznie i obraca to w tę, to w tamtą stronę*) — ja, jako wytworny, elegancki młodzieniec, nadaję się właśnie jedynie na to, żeby do Stowarzyszenia Młodzieży wprowadzić ton wyższy, prawdziwie eleganckie stosuneczki. (*Z prośbą w głosie, wyciągając ręce do publiczności:*) Przynajmniej wy tu obecni, wy, którzy umyślnie zesłicie się, aby mnie oglądać, podziwić, słuchać, wy przynajmniej okażcie się ludźmi, rzeczywiście postępowymi i cywilizowanymi i dopomóżcie mi w przeprowadzeniu moich planów w obrębie towarzystwa. Moje plany są genialne. Proszę posłuchać.

A więc przede wszystkim trochę lekkości i zręczności. Drobnostka, drobnosteczka! Zebranie więc powinno się zaczynać od muzyczki. (*Bierze kapelusz końcami dwóch palców prawej ręki i trzyma go przed sobą; w rękę lewą, w łokciu wygiętą, chwyta laseczkę i lekkim, tanecznym truchtem obiega dokoła pokój, podśpiewując.*) O tak:

Po-czą-tek zebrania
Każ-dy w takt się kła-nia
Každy nóżkę w górę wznosi
Aż nasz zarząd sięś po-prosi.
Tra-la-la-la.

(Zatrzymuje się z jedną nogą lekko wzniesioną.) Czyż nie ładnie? *(Staje naprzeciw publiczności.)* Czyż ten krok taneczny, którym wchodzimy do sali zebrań, nie nadałby zgóry całemu posiedzeniu jakiejś specjalnej wytworności, wdzięku, gracji, kultury, elegancji?! *(Odkłada delikatnie kapelusz i łaskę.)* Wyobraźcie sobie, szanowni państwo, jakby to ślicznie wyglądało: prezes, zwykle taki poważny i nudny, przepraszam, nie chcę panu prezesowi ubliżyć *(kłania się nisko)*, ale panu prezesowi byłoby nadzwyczajnie z tem do twarzy.

A potem sekretarz. Przecież teka, którą on nosi pod pachą, zupełnie go nie zdobi. A tak *(chwyci kapelusz i bierze go pod ramię, jak tekę do akt.)* o widzicie państwo, *(chodzi po sali w takt kołysząc kapeluszem)*, o w ten sposób, mógłby sobie nawet podśpiewywać. *(Chodzi śpiewając na nutę two-stepa.)*

Moja, mojateczka,
Jak prze-pió-reczka.
Mam wszystko zapisane
Co po-wie-dzia-ne.

(Odkłada kapelusz na stół.) Ja sędzę moi państwo, że jesteście zachwyceni tym projektem. Bo to zaraz właściwy wprowadza nastrój, najwłaściwszy.

No, a teraz referent. Trzeba zrozumieć, że człowiek, chcąc mieć wykład, już zgóry jest nieprzyjemnie usposobiony, bo (*siada na krześle*) — siada na swoim miejscu, każdy na niego patrzy, każdy spodziewa się po nim, że wypowie coś mądrego. On musi robić minę poważną (*przeciąga twarz tragicznie*), no i tym sposobem robi się okrutnie ponuro na sali. Jabym radził urządzić całą tę historję zupełnie inaczej. Przedewszystkiem wszyscy zebrani odwracają się w przeciwnym kierunku, pokazując szanownemu prelegentowi... plecy. (*Zwraca się do jednego z obecnych.*) Pan szanowny robi minę zgorszona? Proszę pana, młodzieniec wytworny, a takimi powinni być wszyscy członkowie, równie jest powabny z przodu, jak z tyłu, o ile naturalnie ubranie na nim dobrze leży. Więc najpierw to, co już powiedziałem. A potem, prelegent powinien wypowiadać wykład swój wprost do sufitu. Ooo!... (*Wyciąga się na krześle, przechyla głowę w tył i w tej pozie przemawia.*) Szanowni członkowie najszanowniejszego stowarzyszenia, referat mój jest najmędrszą rzeczą, jaką kiedykolwiek wypowiedziano w tem szanownem gronie. I tak dalej. (*Przybiera pozycję normalną.*) Powiedzcie sami, czy tak nie jest bardziej wytwornie, oryginalnie, estetycznie, cywilizowanie? A przytem jest to jedyna rozumna pozycja dla przemawiającego, bowiem człowiek, który twarzą całą zwrócony jest do sufitu, to znaczy chciałem powiedzieć ku dalekiemu gwiazdzistemu niebu, taki człowiek napewno będzie miał wzniosłe myśli, szlachetne uczucia, przytem będzie mu wygodnie, gdyż głowa, przeciążona

materiałem naukowym, znajdzie dostateczne oparcie na poręczy krzesła.

Ale nie koniec na tem. W naszym towarzystwie istnieje dotąd ten starożytny zwyczaj okłaskiwania referenta, a pan prezes (*kłania się*), od czasu do czasu wypowiada kilka słów uznania. (*Z oburzeniem:*) Państwo szanowni, czyż to może wystarczyć za taki trud? Czyż to dostateczny hołd i cześć? Nie, stanowczo nie! Ja proponowałbym zupełnie coś innego. Otóż w chwili, gdy referat się kończy, wszyscy porywają się gwałtownie z krzeseł (*zrywa się gwałtownie z krzesła, przewracając je, zrzucając kapelusz i laskę*), robią wielki krąg na środku sali i tańczą możliwie najszybciej dokoła prelegenta. A prezes winien w tym czasie, taniec powinien bowiem trwać conajmniej kwadrans, prezes w tym czasie powinien stać na głowie, na dowód, że skłania czoło swe przed mądrością prelegenta. Na specjalne życzenie mówcy wolno panu sekretarzowi przytrzymać pana prezesa za nogi, ale to tylko w wyjątkowych wypadkach. (*Siada zadowolony.*) Potem mogą wszyscy usiąść, tym razem twarzą do prezydium. No co?... Czy to nie genialny projekcik?

I powiem państwu, tego jeszcze w żadnym towarzystwie się nie praktykuje, chyba wśród małych afrykańskich, ale te daleko, więc nie potrzebujemy się obawiać konkurencji — a za to ręczę honorem i głową, że skoro choć w jednym towarzystwie zaprowadzimy te nowości, a do tego powiem jeszcze, że to są obyczaje amerykańskie, a więc największa nowość i największy szyk, to z pewnością wszyscy zechcą robić to samo. Już, już widzę sekretarza są-

siedniego stowarzyszenia, jak cicho wstaje w nocy — i, gdy nikt go nie widzi, robi próby gimnastyczne. Bo jedno zapomniałem nadmienić: Według mnie, ten tylko może zostać prezesem, takiego, jak ja pojmuję wzorowego stowarzyszenia, kto najdoskonalej będzie umiał stawać na głowie. Państwo się dziwicie? (*Wzdryga ramionami.*) Cóż za brak cywilizacji, postępu! Przecież każdy przewrót zaczyna się zawsze zgóry.

Teraz jeszcze co do funkcji skarbnika. Nie uważam wcale, żeby to było dobre, wypowiadać za każdym razem, ile pieniędzy na co, kiedy i gdzie się wydało. Sprawozdanie skarbnika nigdy nie daje obrazu, właściwego stanu rzeczy. Mojem zdaniem, skarbnik nie potrzebuje wcale prowadzić ksiąg, ani opowiadać długo i szeroko o stanie kasy. Może tę rzecz urządzić o wiele prościej, zrozumialej, a przytem estetyczniej. Otóż skarbnik, zamiast jakichkolwiek innych przyborów, powinien posiadać... grzebień. (*Milczy chwilę.*) Czy nikt nie rozumie dlaczego? Ach, jak państwo mało postępowi! Rzecz jest zupełnie prosta i jasna. Proszę uważać: gdy kasa w dobrym stanie, pan skarbnik na grzebieniu wygrywa skoczne melodje; coś w tym rodzaju. (*Śpiewa na nutę krakowiaka:*)

Mam, mam pieniądze
W porządku książki
A więc uznanie
Dostanie.

Jeżeli zaś, bróń Boże, kasa stowarzyszenia przedstawia pustki, pan skarbnik wygrywa na grzebieniu, na nutę żałobnego marsza. (*Śpiewa:*)

Z pieniżkami groźno, smutnie
Ach, ach, ach,
Wykulały się okrutnie
Ach, ach, ach.

Wszyscy zebrani naturalnie biorą udział w tym żalosnym, lub też weselnym nastroju, mruczając do taktu. (*Mruczy najpierw na nutę marsza, potem krakowiaka.*) Czyż tak nie dobrze, moi państwo? Otóż rzeczywisty i szczery kontakt i łączność między zarządem a członkami. Jedynie w taki sposób, za pomocą muzyki i tańca, może nastąpić serdeczne współzycie wszystkich związanych jednym wspólnym węzłem. (*Wstaje i przechadza się po pokoju.*)

To są nowoczesne, modne urządzenia, to są moje projekty reform w stowarzyszeniu. (*Żałośnie ze spuszczoną głową.*) Niestety, nikt ich słuchać nie chce. Nikt nie może zrozumieć, że ja jestem apostołem postępu i prawdziwej cywilizacji. Tylko moja wrodzona elegancja (*poprawia krawat i mankietki*) może być rękojmią, że w Stowarzyszeniu naszym nastąpią pożądane, konieczne reformy. Niestety, nikt zgodzić się na nie nie chce. (*Do publiczności:*) Czyż i wy, szan. państwo jesteście tak zacofani, że mnie nie rozumiecie? Przecież właśnie two-stepp, foks-trott, schimmy, tango, furlana — i tyle innych cudów, nauczyło młodzię naszą najpiękniejszych rzeczy, najwytworniejszych gestów (*wygina się zręcznie*), najwznioślejs-

szych, najmoralniejszych upojeń. Ale *(weselej:)* — ja wierzę w taki postęp! Wierzę, że naśladować lubicie i będziecie — i jeżeli już nie macie odwagi, sami wprowadzić tych reform do naszego towarzystwa, to przynajmniej zróbcie mi tę przyjemność i opowiadajcie wszędzie, że tak robią zagranicą. Napewno u nas prędko zaprowadzą to samo. Tylko odwagi, nie trzeba się zniechęcać. A ja, jako nieustraszony bojownik postępu, będę już zawsze rozpoczynał i kończył każde zebranie takim oto wytwornym tańcem.

(Nakłada kapelusz, bierze laskę pod ramię, chwytając w obie ręce krzesło, niesie przed sobą, tańcząc z niem modny taniec i wolno obracając się i tańcząc, wychodzi z pokoju.)



Wydawnictwa teatralne Zjednoczenia Młodzieży Polskiej Teatr dla Młodzieży Męskiej

1. Alp: Pan Pegaziński
2. H. Houben: Żelazna maska
3. Alp: Jakem Anatol Pafnucy
4. Zbiór pantomim I.
5. Roman Rola: Narodziny pieśni
6. Felicja Żurowska: Orleńta
7. Alp: Trafił Marek na Marka
8. Zbiór pantomim II.
9. Zbigniew Topór: Zbiór monologów
10. " " Dwaj bracia
11. Alp: Do większych ja rzeczy urodzony
12. Zbigniew Topór: Posądzony
13. Felicja Żurowska: Gościnny występ artysty
14. " " Lokatorzy
15. Zbigniew Topór: Dorożkarz i inne monologi
16. Felicja Żurowska: Żołnierz
17. W. Szalay-Groele: Królewska korona
18. Helena Przyjemska: Koledzy
19. X. P. Wieczorek: Polska już wolna
20. " " Kominiarz i piekarz
21. Franciszek Biedroń: Bój o karczmę
22. Mieczysław Jabłoński: Wszystko przez frak
23. Andrzej Vico: Katastrofa przed ożenkiem
24. Maciej Szukiewicz: Kradzione nie tuczy
25. Ks. Paweł Wieczorek: Z nędzy do szczęścia
26. H. Antoine: Korsarz Bałtyku
27. Cz. Wolniewiczówna: Lipa św. Stanisława
28. Ks. Paweł Wieczorek: Wśród nocnej ciszy
29. Franciszek Biedroń: Figiel w pułapce
30. Władysław Junosza-Szaniawski: Portret
31. Eminus: O kupcu Złotolubie i o dobrym Znajdku
32. Marja Reuttówna: Oto dzień chwały
33. Henryk Ghéon: Trzy mądrości starego Wanga
34. Felicja Żurowska: Królewicz umiera
35. M. Sabatowicz: Anielska nowina

Spółka Akcyjna „OSTOJA”
Księgarnia i Drukarnia w Poznaniu

P. K. O. 202.768